

A. M. L.

Z literatury Mickiewickiej.

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. Ps. 143.

ROK TRZECI. — TOM IX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1886.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63

KRAKÓW.

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1886.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str. 769 wiersz 15 <i>zamiast:</i>	de pleine exercices	<i>czytaj</i>	de plein exercices
" 257 " 4 i 6 "	tętnicach... tętnice	"	żyłach... żyły
" 263 " 12 "	Dąbrowska	"	Dąbrówka
" 265 " 21 "	leczone	"	tęczowe
" 266 " 27 "	Bibrana	"	Bibiana
" 288 " 39 "	traves	"	travers
" 291 " 30 "	przecząc	"	przeczącą
" 292 " 18 "	Drewaj	"	Drewes
" 315 " 30 "	medytacyi	"	medyacyi

Str. 32, w przypisku *zamiast:* Ilość ciepła, która jest w stanie stopić kilogram lodu,
ma być: Ilość ciepła, która jest w stanie podnieść temperaturę kilogramu wody od 0 do 1°.

23.743

Z PRZESZLOROCZNEJ LITERATURY MICKIEWICZOWSKIEJ.

(Adam Mickiewicz. — Zarys biograficzno-literacki. skreślił Piotr Chmielowski. — Kraków i Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa).

Odkąd świat światem, w jakiejkolwiek się ona przedstawia szacie, prawdziwa odwaga wzbudza w ludziach poszanowanie, prawdopodobnie będzie tak po wszystkie czasy. Zły czy dobry, każdy człowiek, choć cokolwiek uchyli przed odwagą czapki. Uchylmyż i my czapkę przed panem Piotrem Chmielowskim. Na okładce swojej książki umieścił wprawdzie, że to tylko „Zarys biograficzno-literacki“ co postaci rzeczy nie zmienia wcale i książka ta, nie tylko rozmiarami, ale warunkami i wielu bardzo zaletami, jest i pozostanie prawdziwym życiorysem naszego nieśmiertelnego wieszca. Tej to właśnie odwagi serdecznie panu Chmielowskiemu powinszować należy; podał on bowiem polskiemu czytelnikowi najdokładniejszą bądź co bądź, jaka dotąd wyszła biografią Mickiewicza. Z umysłu piszę „bądź co bądź,“ bo oddawszy autorowi hold za sam czyn, nie uważam się jeszcze obowiązany wszystko bezwzględnie w książce pochwalać, ani na wszystko się pisać. Ale o tem później.

Spotka pana Chmielowskiego prawdopodobnie od nie jednego sprawozdawcy, może nawet od niejednego czytelnika zarzut, że w tych dwóch grubych tomach nie ma nic zupełnie nowego o Mickiewiczu, że to jest praca czysto kompilacyjna. Nie wiem, może być, że jest w tem trochę prawdy (mówię trochę tylko), ale nawet gdyby się pokazało, że zarzut ten jest słuszny, jeszcze twierdziłbym, że samo zebranie, w niektórych miejscach z wielką starannością zrobione streszczenie, sumienne podanie wszystkich źródeł z których się materyał do książki czerpał, stanowi już nie-

pomierną zasługę pracy, a dla całego polskiego społeczeństwa prawdziwym jest dobrodziejstwem. Nie każdemu danem jest, dla jednych z braku czasu, z braku ochoty dla drugich, dla innych z różnych powodów, od woli często niezależnych, przeczytać te całe stosy książek, pamiętników, listów, broszur, manuskryptów przez p. Chmielowskiego przewertowanych, natomiast jego dzieło przeczytać łatwo przyjdzie każdemu, i każdy serdecznie autorowi wdzięczny będzie, że mu sposobność podał zapoznać się w streszczeniu z wrażeniami ludzi w tak ścisłej będących z Mickiewiczem przyjaźni, jak Tomasz Zan, Malewski, Malinowski, Odyniec, Domejko i wielu innych.

Już sam „Wstęp“ książki dobrze czytelnika usposabia, przeczytawszy zaś ostatnie tego „Wstępu“ wyrazy, wie się od razu, że się będzie miało do czynienia z poważnym, rozumnym, wielkością przedmiotu przejętym badaczem. Pod takim wrażeniem rozpocząć czytanie dzieła, jest i dla autora i dla czytelnika bardzo pożądaną a rzadką rzeczą. „Z czcią i obawą przystępuję do pracy, pisze pan „Chmielowski, z czcią, bo mam mówić o tym, który był jakby „sercem narodu; z obawą, bo nie wiem, czy spełnić potrafię godnie, zamiar, ale i obowiązek“.

Niewiadomem mi jest, czy pan Chmielowski jest Litwinem z urodzenia, ale co pewne, to że zna Litwę na wskrós, serdecznie ją miłuje, pisze o niej w jasnych, wdzięcznych, acz zawsze z rzeczywistością zgadzających się kolorach, niekiedy z prawdziwą, za serce chwytającą wymową. Widzi się tę Litwę z XVIII. wieku nagle zbudzoną do wszystkich z Zachodu nowo powstających dążeń, pojęć, umysłowych walk; widzi się ją dążącą mężnie krok w krok za Polską, na drodze postępu i naukowego wykształcenia, dążącą ale nigdy nie naśladowającą, bo Litwin z „wieku oświecenia“, jak Litwin z czasów pogańskich i jak nasz Litwin dzisiaj, jak był, tak jest i pozostanie *usque ad finem*, Litwinem samorodnym, z właściwym swoim charakterem, niepodobnym do nikogo i nikogo nie naśladowującym. Widzi się ją wreszcie, po zajęciu prowincyj litewskich przez Rosyę, odeiętą od Polski, oddaną sobie samej, stale przechowującą we własnych ogniskach duchowy i umysłowy Znicz, ani źdźbła nie marnując ze swych sił żywotnych, ani ze swej samoistnej nie tracąc oryginalności. Pod tem będąc wrażeniem, poj-

muje się, że nie w innej części naszej ojczyzny, ale właśnie na Litwie, poezii geniusz kolebkę Mickiewicza zawiesił

Nie roszczę sobie praw, ani mam kwalifikacyi, do prowadzenia analitycznej z panem Chmielowskim dysertacyi, co do jego szczegółowej oceny dzieł naszego mistrza. Gdybym nawet czuł się na siłach po temu, ciasne ramy poświęcone sprawozdaniu, takiego-by mi nie dozwoliły zbytku. W sam życiorys Mickiewicza także wdawać się nie będę, ani mozolnie szperać, czy są w książce jakie sprzeczności dat, lub niedokładności faktów. Należy to wszystko do ludzi fachowych, którzy się niezawodnie i skwapliwie o to postarają. Sobie, zachowuję do oceny z książki pana Chmielowskiego tylko osobistość naszego wieszca, charakter jego, stosunki poufne z przyjaciółmi, zapatrywania jego niektóre na świat i ludzi.

Trafnie, jasno, z głęboką świadomością czasów i ludzi opisuje pan Chmielowski wśród jakich umysłowych i społecznych znajdowała się Litwa warunków między 1815 a 22 rokiem; czem było Wilno w owej epoce i w jak wysokim stopniu uniwersytet wileński przyczyniał się do rozkrzewienia oświaty na cały kraj. Już wówczas tlała w Wilnie ukryta iskierka romantyzmu, którą niebawem geniusz Mickiewicza miał w płomień rozżarzyć. Instynktem wiedzione, przeczuwało młode pokolenie, że uczucie winno brać górę nad formą; może i przeczuwało ukazanie się wieszca, który miał przelać w ich duszę tę miłość, to ciepło, to światło, któremi go ręka Opatrzności tak szczerze obdarzyć miała. Niemniej trafnie zwraca pan Chmielowski uwagę czytelnika, na błogie skutki tak zupełnie rodzimego, normalnego wychowania Adama, czy to w domu rodzicielskim, czy w szkołach nowogrodzkich, będących pod dozorem OO. Dominikanów; nie cieplarnianego, rozwój zupełnie naturalny, stopniowy, nieco szybszy niż u rówieśników, bo bystrzejszy u dziecka wrodzony spryt, ale bez żadnych gorączkowych umysłowych wybryków. Stąd, gdy w swoim czasie zejdzie jak słońce na firmamencie geniusz poety, będzie to geniusz bijący falą młodości, zdrowia i życia. Nic chorobliwego jak u Zygmunta Krasińskiego, lub z rozpaczą graniczącego jak u Słowackiego. Wprawdzie pochlebne świadectwo przez pana Chmielowskiego nadane wychowaniu Adama w szkołach nowogrodzkich, nie bardzo się zgadza z ogólnym poglądem autora na stan szkół będących pod dozorem zakonników (wia-

domo że świeckich szkół było wówczas tak mało, że ich na palcach policzyć było można). Pomijając już jednostronność i uprzedzenie w sądach pana Chmielowskiego, gdy chodzi o zakony w ogóle, jest brak loiki w następujących ustępach jego książki. „Większa część „szkół średnich na Litwie, w początkach rektoratu Śniadeckiego, „powierzona była pieczy duchowieństwa zakonnego... Stan tych „szkół zakonnych był w ogóle lichy. Nauczyciele, nie odbywając „zazwyczaj nauk w uniwersytecie, nie mogli ich wykładać ani do- „syć pożytecznie, ani zgodnie z systematem uczenia powszechnie „wprowadzonym do zakładów świeckich.“ Przypuśćmy, że ten sąd jest słuszny; w takim razie nie zgadza się z następującym ustępem: „Rozbudzona idea owocnej dla przyszłości pracy, gorliwość „obywatelska, a nadto, wrodzone wiekowym zwyczajem a wzmoc- „nione nowymi warunkami istnienia kraju, poczucie potrzeby nauki, „wydatnemi zaznaczyły się śladami zarówno w liczbie szkół, jak „w liczbie i pilności uczniów“. A gdzież się chowali, pytam, jeśli nie w szkołach zakonnych ci, o dobro kraju i oświaty gorliwi oby- watele, skąd się cisnęli ci „liczni i pilni uczniowie“ jeśli nie z kon- wiktów Pijarów, Dominikanów, Jezuitów i innych zakładów pod opieką zakonników będących? Zwłaszcza Jezuici w wielkiej są u pana Chmielowskiego nielasce, o czem nam później wspomnieć jeszcze przyjdzie. Przecie sam Lelewel, dla którego autor życiorysu Mickiewicza wielkie ma poszanowanie, nie gdzieindziej tylko u Pi- jarów warszawskich się chował. W czasie w którym rozpoczynał Mickiewicz nauki na uniwersytecie wileńskim, panująca wówczas mania stowarzyszeń, tak się była w całej rozszerzyła Europie, że się z tej zarazy i do naszej Polski coś było dostało. Pod płaszczy- kiem filantropii i tolerancyi, pod hasłem rozpowszechnienia oświaty, najzgubniejsze kursowały pseudo-zasady na wolnomularstwie szcze- pionie. Zdrowym instynktem i wrodzoną poczciwością, wiedziona zacna nasza polska młodzież, przekonawszy się że ówczesne sto- warzyszenie Szubrawców, gęsto w Wilnie rozpowszechnione, całkiem nie odpowiadało ich dążeniom, mającym za cel „wzajemną pomoc w rzeczach nauki i zachęcania się do pracy,“ -- zawiązała się w sto- warzyszenie „Filomatów“. Gdy się „Filomatów“ porównywa z wszyst- kiami ówczesnemi, choćby najmniej niewiarą i zepsuciem zarażonemi stowarzyszeniami, któremi Europa cała jak istnym kąkolem zasiana

była, doznaje się uczucia serdecznego zadowolenia, że to, co było za granicą (i w Polsce, gdy z obczyzny importowane) powodem do różnych zdrożności, między naszą polską młodzieżą, w innym duchu pojęte, wychodziło na największą chwałę naszych studentów. „Ojczyzna, nauka, cnota.“ Tak śpiewali „Filomaci“ i tego szlachetnego hasła długo się trzymali. Na obchodzie żałobnym po Kościuszcze, istnienie swoje po raz pierwszy zmanifestowali publicznie. Wielki ten narodowy obchód, tak wymownie świadczący o łączności wszystkich dzielnic Polski w uczczeniu bohatera, odbył się za pozwoleniem, niemal współdziałaniem władzy. Nie mniej szkodliwie on wpłynąć miał na umysły młodych „Filomatów“. Raz zakosztowawszy upojenia publicznych manifestacyj, mimowolnie z wytkniętej zbaczali drogi, której się dotąd tak sumiennie trzymali. Manifestacje publiczne, to jak stare wino, tylko dojrzałe głowy je przetrawiają, młodym uderza do mózgu. Przyszedł niebawem Nowosilcow, który w każdym związku widział „dezorganizację zasad uniwersytetów niemieckich“. Wówczas gorące wspomnienie żałobnego obchodu Kościuszki, zamieniło się dla tej zacnej, lecz nierozważnej młodzieży, na nie mniej gorącą żądzę męczeństwa. Z tej żądzy skorzystano ze srogą naszą krzywdą, pozbawiono nas kilkunastu inteligentnych, pracowitych, szlachetnych młodych ludzi, najlepszy dających rówieśnikom przykład. Serce się ścisła na samą myśl, co taki Zan, Czeczot, Malewski, a cóż dopiero Mickiewicz! duchowych i umysłowych wywieźli z sobą na obczyznę skarbów. Pierwsze to było, maleńkie wówczas jeszcze źródło, z którego wyrodzić się miała z czasem fala emigracyjna, fala mająca zmarnować tyle ludzkich żywotów, tyle serc rozedrzeć, tyle najszlachetniejszych umysłów do rozpaczki lub obłędu doprowadzić. Czy zdrowy, silny, iście polski, a jak słońce jasny Mickiewicza geniusz, byłby w szal towianizmu popadł, a sam wieszcz zmarł na obczyźnie, daleko od swoich, daleko od kraju tak gorąco przezeń miłowanego, gdyby nie ten za młodu zakosztowany, niebezpieczny dla polskich ust nektar męczeństwa. Wyobraźmy sobie tylko na chwilę, oczami duszy, Mickiewicza wracającego do Wilna, po pobycie w Petersburgu np., coby mu było łatwo przyszło otrzymać, przez wpływowych tamże przyjaciół. Stać go było na wszystko; dusza jego i umysł na wysokości byłby każdego powołania, a serce do każdego poświęcenia zdolne, prócz może właśnie jednego po-

święcenia, polegającego na oparciu się prądowi emigracyjnemu. Wyobraźmy sobie to pokolenie, może i więcej niż jedno pokolenie, przez Mickiewicza wychowane. „Mickiewicz, pisze p. Chmielowski, „w charakterze swoim i w okolicznościach życia, miał wszelkie warunki po temu, aby przemówić językiem miłości, wolnym od przesady, a jednak rzewnym, głębokim, wzniosłym“. Tym to właśnie językiem przemawiając przez lat kilka lub kilkanaście, byłby całe zastępy młodzieży do wszelkiej duchowej i umysłowej doprowadził wyższości, a prawdopodobnie kraj od wielu uchronił nieszczęść. Nie można wprawdzie ludzi, niezwykle obdarzonych geniuszem, zwykłą ludzką mierzyć miarą; przypuścić więc można, że przy wrodzonej mistrza drażliwości, i bądź co bądź, dość słabej woli w obcowaniu i konieczności położenia, że nie byłby odpowiadał warunkom potrzebnym na dobrego profesora co do litery, że byłby bez ładu i bez wytrwałości prelekcij udzielał, ale co do ducha, byłby cudów dokazał, sądząc po wpływie jaki wywierał wśród kolegów, będąc sam dwudziestoletnim młodzieńcem. Krzywda nam się zatem, ciężka krzywda stała, nad którą ubolewać należy.

Ale wróćmy się do książki pana Chmielowskiego. Z prawdziwą delikatnością, i o ile mi się widzi, nie mniejszą intencją prawdy, opisuje autor stosunek Mickiewicza do Maryli i wpływ tego uczucia na życie i na geniusz wieszczka. Powiedziałbym więcej na geniusz niż na życie, Maryla bowiem pierwsza uderzyła w strunę miłości na lirze, która potem tak wspaniale o tem uczuciu śpiewać miała, ale Maryla, to nie tyle pierwsze kochanie, ile pierwszy przedmiot do miłości. Adam kochał wprawdzie Marylę, ale kochał w niej nadewszystko samą miłość, tę miłość, która miała być jedną z najpiękniejszych pereł w skarbcu jego poezji. Perła została, ale Marylę, w życiu wieszczka, dużo innych niewieścich postaci, w cień dalekiej wsunęły przeszłości. Zupełnie się tu więc zgadzam z panem Chmielowskim, gdy trafnie pisze: „Uczucie jego dla Maryli, wskutek coraz silniej utrwalającego się w nim przekonania o potrzebie rozwinięcia pierwiastku uczuciowego zarówno w poezji jak w życiu, o potrzebie wcielania tego pierwiastku, stawało się coraz głębszem, potęgowało się przez wpływ wrażliwej i coraz to „bujniej przy czytaniu autorów niemieckich, a zwłaszcza Szyllera, „rozwijającej się wyobraźni“. Rozwijał też Mickiewicz pierwiastek

uczuciowy i „w poezyi i w życiu“. W poezyi, rzewne wspomnienie Maryli zawsze wprawdzie główne zajmować będzie miejsce, w rzeczywistości, zajdą częste zmiany, których historję autor z wdziękiem życia kreśli.

W niemniej żywych, nawet w oryginalnych barwach, opisuje pan Chmielowski tyloma już foliałami obrabianą walkę klasyków i romantyków, walkę, która ówczesną młodzież, a wśród niej i Mickiewicza „na kwietnią ścieżkę romantyzmu zwróciła, odrywając od ubitego gościńca klasycyzmu“ ku wielkiej zgrozie Warszawskiego Parnasu, upatrującego w nowym kierunku twórczości przez Mickiewicza inaugurowanym, zamach przeciwko wszelkim prawom rozsądku i tradycjom naukowym; młodego zaś poetę za „patryarchę skażenia“ okrzyczał. Cały ustęp pana Chmielowskiego o poezyi ludowej, mitach, legendach, cudownych objawieniach, o tem prawdziwym źródle, w którym romantyzm natchnienie swoje czerpał, dowodzi głębokiej pracy, oraz sumiennej, rdzennej znajomości przedmiotu.

Najciekawszą niezaprzeczenie część dzieła pana Chmielowskiego, stanowi pobyt Mickiewicza w Rosyi i stosunek jego do poetów, historyków, literatów tego kraju. W Moskwie, w świetnym salonie księżnej Zeneidy Wołkońskiej, tej rozumnej, serdecznej naszego wiejszcza przyjaciółki, spędza on długie wieczory na namiętnych dyskusjach z ludźmi niepospolitymi, dla których geniusz poetyczny, wszechstronny rozum i gorącość uczuć Mickiewicza, miały urok niewypowiedziany. Istne to być musiały umysłowe biesiady! Księżę Wiaziemski, jakkolwiek do przeciwnego jako neo-klasyk należał obozu, wysoko cenił umysł i charakter Mickiewicza. Mikołaj Polewoj mówił o nim, „że to człowiek niepospolitych zalet duchowych, „że pociągał ku sobie wzniosłością poglądów, olbrzymią wszechstronnością wiedzy i osobliwszą, jemu tylko właściwą dobroduszością“. Z Aleksandrem Puszkinem prawdziwa łączyła Mickiewicza przyjaźń; czar poezyi zbliżył do siebie tych dwóch młodych, w równym wieku będących, a już każdy w swoim kraju sławnych wieszczów. Drugi jeszcze, choć przez każdego z nich inaczej pojęty, przyciągał ich do siebie czar, czar wolności. O stosunkach towarzyskich w Moskwie pisze Mickiewicz, że mu najmilsze zostawiły wspomnienie „gdyż nie dojrzał na nich, ani interesowanej nienawi-

„ści, ani zazdrosnego współubiegania się, tylko przyjazne usposobienie jednych względem drugich, i chęć oświecania się za pośrednictwem wspólnych czytań i rozpraw“. Gdy przyszło Mickiewiczowi Moskwę opuścić, rosyjscy wielbiciel jego urządzili dlań ucztę pożegnalną, w czasie której Eugeniusz Bariatyński, w obec sproszonnych na ten obchód literackich i artystycznych znakomitości, wnosząc zdrowie naszego wieszca, w następujących odezwał się słowach: „Nie naśladowaj innych, wieszczu; wszak tyś wielkością swą wielki. Dla Izraela i piewcy jedno prawo: nie będziesz czcił cudzych bogów. Kiedy Cię, natchniony Mickiewicz, zastaję u nóg Byrona, myślę wówczas: pokorny wielbicielu, powstań i pomnij, że sam jesteś bogiem!“ Poczem wręczono Mickiewiczowi puchar srebrny z wyrzniętymi nazwiskami biesiadników na tej uczcie obecnych.

Po Moskwie przychodzi kolej na Petersburg; i tam bardzo przychylnego doznaje wieszcz nasz przyjęcia. Poeta rosyjski Żukowski zaklina, by mu Mickiewicz pozwolił swe poezye przetłumaczyć na język rosyjski. „Rosyanie, pisał wówczas Adam do Odyńca, gościnność rozciągają aż do poezyi i przez grzeczność dla mnie, tłumaczają mnie; gmin idzie w ślady naczelných pisarzów. Już widziałem sonety rosyjskie w guście moich. Owóż sławy dosyć dla obudzenia zazdrości, chociaż ta sława wychodzi często z za stoła, przy którym jedliśmy i pijali z rosyjskimi literatami. Miałem szczęście zyskać ich względy. Mimo różnych mniemań i partyj literackich ja ze wszystkimi w zgodzie i przyjaźni“. W Petersburgu bywał Mickiewicz dużo w świecie. We wszystkich salonach wdzięki niewieście i urok muzyki, fantazyi dodawały pocie. Uczuwał czasami wprawdzie cześć tego salonowego życia, tak oddalonego od dawnych marzeń wielkości w poświęceniu i wielkości w czynie, ale z jednej strony więziły go złote łańcuchy kobiecemi ukute rękami; z drugiej, nie mógł nie być ujęty uznaniem, niemal czciami, któremi go najznakomitsi ludzie w Petersburgu otaczali. Puszkin przetłumaczył w owym czasie na język rosyjski „Trzech Budrysów“, „Czaty“ i początek „Konrada Wallenroda“. Że „Konrad Wallenrod“ mógł być napisany i wydrukowany w Petersburgu, świadczy wymowniej od wszystkiego, że Mickiewicz w przyjaznej i dla geniuszu jego sympatycznej żył atmosferze. Do natchnienia

nikt się zmusić nie potrafi. Muszą duchowe odpowiadać temu warunkowi. Czytając opis pobytu Mickiewicza w Petersburgu i Moskwie i entuzyastycznego przyjęcia, którego wszędzie doznawał, nie można nie pomyśleć w duszy, ile od tego czasu popłynąć musiało żółci, łez i krwi, żeby to ówczesne przyjazne dla Polaków usposobienie, na otchłań bezdennej nienawiści zamienić, nienawiści pokrzywdzonych i nienawiści krzywdzących. Wracając się raz jeszcze do Puszkina, niech mi wolno będzie podać tutaj, cztero-wiersz Mickiewicza na prośbę rosyjskiego poety improwizowany, z okoliczności kilku płatków śniegu spadłych na gors jednej z obecnych w ogrodzie dam. Z tym ślicznym wierszykiem nie spotkałem się nigdzie, nie pamiętam czy się w dziełach mistrza znajduje; w każdym razie mało jest znany i podając go w swojej książce, miłą pan Chmielowski czytelnikowi sprawił niespodziankę.

Na twą pierś białą padł śnieżek biały
I bielszym od niej się mienił;
Lecz wkrótce poznał błąd swój zuchwały,
I z żalu w lżę się przemienił.

Co za perelka najczystszej wody! Na ten sam temat i Puszkina wówczas coś zaimprowizował, ale tylko Mickiewicza cztero-wiersz w pamięci zachowano.

Nie należy sądzić z powyższego opowiadania, żeby prócz salonowych przyjemności, tak często na owacy się zmieniających, mistrz nasz poważniejszych nie był miał zatrudnień w czasie pobytu w Petersburgu. Zbyt przenikliwym patrzył on okiem i na wypadki i na ludzi, żeby znajomość ta, w połączeniu z czytaniem poważnych obcych dzieł, i ciągle zetknięcie się z ludźmi o niepospolitym umyśle, owoców przynieść nie miała. Pisał, urywkowo wprawdzie, ale pisał ciągle. Rozpoczął między innymi „Historią przyszłości“, w której zdumiewające, prorocze niemal znajdują się wnioski o rzeczach całkiem wówczas nieznanym, a dziś niezbędnym do potrzeb naszego codziennego życia. Manuskrypt dotąd odnalezionym nie został.

Z polskich domów obecnych w tym czasie w Petersburgu, salon pani Szymanowskiej, zacnej, inteligentnej, prawdziwie po matczyńsku Mickiewicza kochającej, a przytem niepospolitej fortepia-

nistki, co stanowiło dla Adama urok, najwięcej był przez niego uczęszczany. Może być zresztą, że jasnovidzenie właściwe prawdziwym poetom, ciągnęło go instynktowo ku rodzinie, w której miał sobie, kilka lat później, dozgonną wybrać życia towarzyszkę. Przyjaciel i towarzysz Mickiewicza, tak o nim wówczas pisał w liście do siostry: „Talent jego dojrzał, rozmowa zasilona i tem co wi-
 „dział i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej imaginacyi. Lubi
 „teraz mówić dużo; jego głos często sam tylko słycać w zgroma-
 „dzeniu i każdy skwapliwie ucisza się, aby go słuchał. Prawdziwie
 „napełnia mię uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza i że je-
 „stem jego przyjacielem“. Nadszedł wreszcie oddawna upragniony i oczekiwany paszport za granicę; dzień wyjazdu wyznaczył Mickiewicz odrazu. Na wzór towarzystwa w Moskwie chcieli i petersburscy liczni wielbiciele i przyjaciele serdeczni, hucznie i świetnie żegnać genialnego gościa, o którym ociemniały już wówczas rosyjski poeta Kozłów rzekł do Odyńca: *Vous nous l'avez donné fort, nous vous le rendons puissant*. Tymczasem nadeszła nagle wiadomość, że wypłynięcie statku, który miał Mickiewicza zabrać, przyspieszonym zostało. Trzeba się było czem prędzej pakować o północy, za powrotem od pani Szymanowskiej, i chwili nie czekając, do portu się udać. Gdy się nazajutrz wieść rozeszła o niespodzianym tym wyjeździe, zaczęto ze wszystkich stron gonić ku portowi, żeby choć raz jeszcze dłoń mistrza uścisnąć. Lecz daremnie, już go kołysały spienione fale Bałtyku. Do jakiego stopnia umiał Mickiewicz, pomimo częstych chmur na czole i nierzadkiej w słowach goryczy, wzbudzać gorące uczucie nie tylko miłości, lecz głębokiej, serdecznej, do grobu i po za grobem wiernej przyjaźni, niech za dowód posłużą pisane do niego następne słowa przez Malewskiego, w sam dzień wyjazdu Adama: „Wszędzie lzy; u jednych zasychają, u drugich jeszcze płyną. Choćśmy się uzbrajali w wino i porter, mimo to Odyniec beczy, a ja jak na licho, patrząc na panny płaczące, nie mogę się od łez utrzymać. Najniegodziwszy wynalazek na świecie parochodu! Daremnie dowodziłem, że to nie po chrześcijańsku tak płakać po wyjeżdżających, że to niedowiarstwo w nieśmiertelność; nic nie porusza; lzy się nie utulają. Zdaje mi się, że to jest twoja familia po tobie płacząca.“

Pomimo trwałej niechęci jeszcze silnego wówczas zastępu pol-

szych klasyków, utwory Mickiewicza coraz szerszem, coraz głębszem płynęły po kraju korytem, magnetyzując umysły a serca opromieniając. Potęga wyobraźni, prawda i ciepło uczuć, niezrównanego języka czar, stawiały wieszczą „który był jakby sercem narodu“ na niebywałych dotąd wysokościach. Umiejętność tworzenia postaci posagowych acz tryskających życiem, wdzięk z którym cuda przyrody oddawać umiał, czyniły go rzeźbiarzem, malarzem i wieszczem zarazem. Uczuciem chwytą w objęcia przeszłość, obecność i przyszłość ojczyzny, uczuciem i prawdą. „Dziś, gdy świat znów prawdy „zapraagnął, pisze Mickiewicz w liście do Odyńca, sztuka już nie „wystarcza ludzkości i poezya musi wrócić do prawdy“. Czy czasem nie w tem poszanowaniu, w tem rozbudzeniu prawdy w poezyi, tkwi część potęgi geniuszu wieszca? Nową on wówczas stworzył erę, pełną ognia i zachwytu, które nasze dzisiejsze, w pozytywizmie zamrożone pokolenie, zaledwo zrozumieć zdoła. Dziś nietylkoby nas na drugiego Mickiewicza nie stało, ale nie stałoby nas na te mnogie zastępy, które się nim zachwycaly, za nim szaleli, w niego jak w same bóstwo poezyi patrzali. Nasze pojęcia o piękności, nasze ideały, innego, pośledniejszego są już gatunku. Umysłowe szermierki z czasów o których tu piszemy, mało dziś już kogo prawdziwie zajmują, gdy poprzednie pokolenie namiętnie, gwałtownie do jednego lub drugiego należało obozu. Gdy w Petersburgu ogłoszony został „Konrad Wallenrod“ nikt go w kraju nie był w stanie przeczytać bez bicia serca, bez przyspieszonego tętna w żyłach. „Olbrzymia ta „karta dziejów krzyżackich i Litwy, pisze Lucyan Siemieński, po- „dobna lawinie, stoczyła się aż na brzeg Wisły“. Jakiż świetny już był wówczas wieszcy zawód zaledwo trzydziestoletniego Mickiewicza!

Z Petersburga pojechał Adam do Berlina, tam wpadł między wielkopolską młodzież uniwersytecką, wielce w filozofii Hegla rozmiłowaną, co bynajmniej nie trafiało, ani do przekonań, ani do chwilowego usposobienia Mickiewicza. Pisał wówczas o nich do Malewskiego. „Filozofia tu pozawracała lby; lękam się, abym nie „przeszedł na stronę Śniadeckiego, tak mię nudzą Hegliści... Widzę, „że należą do dawniejszego pokolenia i jako *stationnaire* żadnym „sposobem nie zrozumieję się z tutejszymi metafizykami“. Tymczasem nasi poznańscy metafizycy, chcieli godnie uczcić litewskiego wieszca;

nie było wiec końca wieczorom, ucztom, oracyom i dyskusyom różnego rodzaju; tych ostatnich Hegel był najczęściej przedmiotem. Znałony dnia jednego przez całą tę filozofującą młodzież, dał się wreszcie nakłonić Mickiewicz i udał się z nimi na dwie prelekcye Hegla. Na tych prelekcjach, rozwijał arcy-mądry filozof, jaka zachodzi różnica między *Vernunft* i *Verstandt*. Mickiewicz, któremu wrodzona, od Boga nadana filozofia, całkowicie do szczęścia (i do sławy) starczyła, za wileńskich jeszcze czasów nie okazywał ferworu w uczęszczaniu na wykłady filozoficzne. Jeszcze go w tej niechęci utrwaliły prelekcye Hegla; tak się o nich wyraził, ku największemu zgorszeniu Wielkopolanów: „Mąż, który tak niejasno mówi i tak „się męczy caluteńką godzinę, by rozjaśnić znaczenie dwóch pojęć, „pewnie się sam nie musi rozumieć“. Żartobliwe te słowa, Stefan Garczyński i Karol Libelt, niemal za osobistą wzięli urazę.

Pozawiazywawszy stosunki z obywatelami z Poznańskiego, opuścił Mickiewicz Berlin, udając się przez Niemcy do Włoch, tej krainy najgorętszych jego marzeń. Znana ta podróż, oraz wizyta u Goethego, z listów Odyńca. Wszędzie nosi się Adam z myślą jakiejś obszernej historycznej pracy, lecz się do niej na seryo nie zabiera. Zwiedzanie wiecznego miasta i okolic jego, stosunki towarzyskie z różnemi zagranicznymi znakomitościami, a nadewszystko nowe niewieście czary, cały mu czas zajmują. Między przyjaźnią księżnej Zeneidy Wołkońskiej właśnie wtedy w Rzymie bawiącej, zalotnemi dyskusyami z dziesiątą muzą (tak bowiem przezwaną była Anastazyja Klustin), a rozpoczynającą się czułą sielanką z Henryetą Ankwiczówną, sposobności do pracy nie było. Rzecz dziwna! właśnie w tym czasie wyrzeka Mickiewicz, na zupełną samotność. To już chyba, że dusza poety zaspokojenia ni szukać, ni przyjąć nie chce! może to wewnętrzne, wieczne trapienie się, nawet gdy po temu nie ma prawdziwego powodu, jest poetom potrzebne do nastrojenia swej liry. W tej epoce życia naszego wieszczą, następuje szczerzy choć nie dość głęboki zwrot ku dawnym, z rodzicielskiego domu wywiezionym zasadom religijnym, srodze od kilkunastu lat zaniedbanym. Była to po części zasługa księdza Chołoniewskiego, człowieka o bystrym umyśle i sercu gorącym, który poznawszy Mickiewicza, pokochał go serdecznie i zapragnął do niebieskich wtajemniczyć go pociech. Wieszczą, również od razu przylgnął do

sługi bożego, którego wpływ ogarnął całą jego duszę, do poświęcenia i miłości bliźniego ją usposabiając. Przedstawiła się też właśnie ku temu sposobność, w przybyciu do Rzymu chorego na duszy i ciele Stefana Garczyńskiego. Zajął się nim od razu Mickiewicz, nie szczędząc czasu i starania; dzielił się z nim owem światłem tak szczerze przez księdza Choloniewskiego jemu udzielanem. Niedowiarka, starał się nawrócić nie zbyt silny jeszcze neofita, dla którego ewangelia i narodowość, pomimo zaprzeczeń księdza Choloniewskiego, tuż obok siebie na tym samym spoczywały ołtarzu.

Idzie to na największą chwałę polskiego narodu, że w nim religia i miłość do kraju są nierozdzielne; o tyle wszakże tylko, o ile to znaczy, że religia patryotyzm uświęca, czystości jego zamiarów pilnuje, dodaje mu męstwa w walce, wytrwałości w niedoli i wiary w przyszłość, lecz, jeśli wbrew tej boskiej nad nim opieki, patryotyzm na bezdroże zbłądzi, dowodzi sam, że ludzkiego jest pochodzenia i ludzkim podlega ułomnościom; religia zaś, wprost przez Boga nadana, ani zbroczyć ani zbłądzić nie może. Stąd religijność ówczesna Mickiewicza była uczuciem bardziej, niż zasadą; uniesienie zastępowało znajomość prawd chrześcijańskich; miłość odbywała się bez gruntownej wiary. Już widzimy w Filaretach, przy zupełnej dobrej wierze, zaród tej mglistej, na patryotycznym tle opartej religii. Sama przez się miłość dla kraju jest uczuciem tak wzniosłem, tak szlachetnem, tak odpowiadającym najszczytniejszym żądom duszy ludzkiej, że się jej w obce szaty przyoblekać nie godzi; przyoblekać ją zaś w szaty należące się Bogu, było i pozostanie *usque ad finem*, rzeczą grzeszną. Przyjdzie nam jeszcze o tem wspomnieć w ustępach biografii, tyjących się epoki mesyanizmu w życiu Mickiewicza.

Jakby wieszczym duchem tknięty, że go tam przeróżne spotkają krzyże, nie rwał się Adam do Paryża, pomimo ustawicznych nawoływań, licznie tamże bawiących wielbicieli i przyjaciół. Wieszcz może przeczuwał, że raz dostawszy się w żar emigracyjnej otchłani, ani mu się oprzeć zdoła, ani go zagasić potrafi. Przedłużał więc o ile mógł tak chwilowemu usposobieniu odpowiadający pobyt we Włoszech, gdzie i przyroda i ludzie uspokajająco nań oddziaływali. Z Włoch pojechał zwiedzić Szwajcaryę, unosząc się wszędzie po drodze niezrównaną pięknnością krajobrazu. Tam spotkał się z dzie-

więtnastoletnim wówczas Zygmuntem Krasińskim, którego młoda, gorąca wyobraźnia, żywo się nim zajęła. Pisał do ojca po pierwszym zetknięciu się z Mickiewiczem. „Znać we wzroku, że rzucona „iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być idea- „łem człowieka uczonego i geniuszu pełnego.“ Tak się wyrażał o wieszczu ten, któremu niebawem płomień i iskry, siostrami być miały. Nieco później, w innym piśmie liście: „Zupełnie mi wy- „perswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak „mowach, jak pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną „i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu „są niczem, kiedy myśli nie ma; że wszystko na tej myśli polega, „i że chcąc być czemś teraz, trzeba uczyć się, i uczyć się i uczyć, „i prawdy wszędzie szukać, nie dając się uludzić przez błyskotki, „które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, „a potem gasną na wieki. Spotkanie się z nim, wiele mi dobra „przyniosło i niezawodnie wpływ będzie miało na dalsze moje ży- „cie, wpływ dobry i szlachetny“.

O gorących listach i mowach Mickiewicza w obec powstania listopadowego w kraju, w sprzeczności będących z żółwim pośpiechem z jakim na plac boju dążył, rozpisywać się nie widzę potrzeby. Dosyć o tem ludzie, słusznych i niesłusznych, (zwłaszcza nie słusznych) rozpowszechnili wieści. Wolę czytelnika odesłać wprost do książki pana Chmielowskiego, w której z wielką trafnością sądu i wyrozumiałością, o tej chwili życia poety wspomina. Tym razem jeszcze powtórzyć trzeba, że wieszczów ludzką zwykłą miarą mierzyć nie można. Nie był Mickiewicz ani wojakiem, ani dyplomatą; do życia publicznego wprawy nie miał, cóż więc byłoby jego przybycie do Warszawy pomogło? prawdopodobnie, zupełnie nic. O ile stała obecność jego w kraju, czy na katedrze w uniwersytecie wileńskim, czy w życiu obywatelskiem, byłaby najświetniejsze osiągnęła rezultaty, o tyle nader małą byłby oddał Polsce usługę, wstępując do szeregów, lub mieszając się do sporów rządu narodowego. Nie to więc wieszczowi zarzucajmy, że na wiadomość o wybuchem powstaniu, do Warszawy wprost nie podążył, ale ubolewajmy nad tem i gorzkimi płaczmy łzami, że go Polska tyle lat na swem łonie pieścić nie miała; smucimy się ciężkim smutkiem, że się na dobrowolnego podał emigranta i po-

mimo nie raz powtarzanych zaklęć, że się do emigracyjnych sporów mieszać nie będzie, w wir ten złowrogi porwać się dał i w nim zgiął. Dzięki genialnym utworom, wieszcz nam się został, ku chwale narodu i dla największej pociechy potomności, ale człowiek a, emigracya, koniec końcem, zmarnowała. Krótko po poddaniu się Warszawy, pisał Mickiewicz do Lelewela: „Bóg nie pozwo-
 „lił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem
 „na przyszłość dziele. Żyję tylko nadzieją, że beczynnie ręki na
 „piersiach w trumnie nie złożę“. Te słowa kreśliła ręka, której dziełem były utwory jak *Dziady*, *Wallenrod*, *Sonety Krymskie*, *Oda do młodości*, ręki, która jeszcze Pana *Tadeusza* napisać! miała. Wprawdzie orężem w życiu nie władała, na sejmach dekretów i protestacyj nie podpisywała, ale, bądź co bądź „beczynnie
 „w trumnie, nie złożona“.

Slusznie i trzeźwo pan Chmielowski wyjaśnia stan emigracyjnych stosunków, w chwili przybycia Mickiewicza do Paryża (sierpień 1832). Niech mi wolno będzie ustęp ten podać: „Wszyscy
 „wprawdzie wychodźcy mieli na oku cel jeden: wyzwolenie kraju,
 „ale przy wybujałym naszym indywidualizmie, przy krewkości i po-
 „rywczności usposobienia, przy małym wyrobieniu umysłowem, trudno
 „im było zgodzić się na środki, do urzeczywistnienia celu tego pro-
 „wadzące. Jak już podczas samej rewolucyi, tak i teraz na wy-
 „chodztwie potworzyły się stronnictwa, zacięcie swoich poglądów
 „broniące, względem siebie nieprzejednane. Jedni drugich oskarżali
 „o kłeski poniesione przez naród; jedni na drugich winę niepowo-
 „dzenia zwalić pragnęli. A że nieszczęśliwi bywają najczęściej nie-
 „sprawiedliwymi, oskarżenia te objawiały się w sposób gwałtowny,
 „namiętny; od rozpraw, sporów, swarów i kłótni, dochodzono łatwo
 „do zarzutu zdrady, a stąd do nadzwyczaj częstych pojedynków,
 „jakby nie dosyć było jeszcze krwi przelanej na polach bitew, jakby
 „sami siebie wytępić chcieli. Niejasność pojęć polityczno-społecz-
 „nych, a obok niej gorąca chęć do jakiegokolwiek ruchu i działania
 „wywoływały straszny chaos opinij i dążności, nieopisane zamiesz-
 „nie w umysłach i febryczny stan ducha.“ Do powyższych, poważnych uwag pana Chmielowskiego dodać jeszcze można, że ten febryczny stan ducha, był w owej chwili „stanem“ całej Europy, będącej jakoby na przełomie. Zachciewało jej się wówczas wszystko

zmieniać, wszelkie wprowadzać reformy: religijne, społeczne, obyczajowe, literackie. Wszelakiego rodzaju zmiany stały na porządku dziennym. Prąd ten ogólny, nie mógł się nie przyczynić do roznamiętnienia już i tak bardzo gorących marzeń, polskich wychodźców. Mówiliśmy powyżej, że przybywając do Paryża, Mickiewicz najszersze miał postanowienie nie zbliżać się do tych sporów, by się go czasem nie uczepiły; ale dusze ogniste, mają tę właściwość, że ich nęci i pociąga płomień, tak jak nie jednego nęci i pociąga widok przepaści; sam zaś, mając w duszy spory zapas ognia, najmniejszej dość miał iskierki by pożar wzniecić. W pierwszej chwili pobytu w Paryżu, od emigracyjnych schadzek odstręczała Mickiewicza duma, bo dumny był, i z wrodzonego charakteru i w skutek powodzenia, którego, jako wieszcz i jako człowiek, doznawał wszędzie od dawna, czemu się zresztą i dziwić nie można. Wszak z Kowna jeszcze pisał, choć wówczas owacyj nie odbierał, że jemu „pochlebców a nie przyjaciół potrzeba“. Nieco później w obec krytyki dzieł jego przez najwybitniejszych przedstawicieli klasycyzmu wyrażonej, między którymi znajdowali się ludzie jak kasztelan Koźmian, Śniadecki, Dmochowski, Brodziński, coż pisał nasz Adam? „Ale mnie znudziła klasyczna wasza hołota i pokażę, że się ich wszystkich razem nie boję“. Wiedząc, że mu emigranci darować nie mogli nieobecności w kraju w czasie powstania, miał do nich za to urazę i od nich stronił. Psychologicznie da się więc zupełnie wytłumaczyć, i unikanie emigracyi przez Mickiewicza, za jego przyjazdem do Paryża i przejście jego do ich obozu, po kilkunastu bankietach na cześć wieszczów urządzonych, na których, jak z rogu obfitości, sypały się toasty, owacye, wawrzyny i serdeczne uściski, kończące się zwykle na łzach. Znał wprawdzie Mickiewicz i księcia Adama Czartoryskiego, i Bohdana Zaleskiego i kilku innych z tej partyi ludzi poważnych; ale w przeciwnym obozie znajdowali się towarzysze z czasów wileńskich, jak Lelewel, Chodźko, Grzymała i wielu innych. Ci właśnie najgoręcej go ku sobie ciągnęli, a że w głębi duszy był, bądź co bądź, demokratą, dał się w złej chwili i do demagogii policzyć, zwłaszcza w teorii, bo prawdopodobnie do praktyk demagogicznych nie była by się nigdy szlachetna jego dusza zniżyła. Pisał więc do Domejki, już wówczas w Ameryce osiadłego, że mu rzeczy emigracyjne „czas żrą i humor

psują“, ale się bądź co bądź od nich całkiem nie odsuwał. Psychologiczny ówczesny stan duszy Mickiewicza, duszy, w której walczyły dwa wrogie sobie prądy, jeden przyplływający wprost z Rzymu i z wspomnień duchowej przyjaźni księdza Chołoniewskiego — drugi, z mętnego źródła sporów demokracji emigracyjnej, objawił się w „Księgach narodu polskiego“. Jak ongi naród Izraelski, tak odtąd polski naród miał na świecie odgrywać rolę misyjną. Zmartwychwstanie Polski stanowić miało nowe zbawienie chrześcijaństwa. „Księgi narodu polskiego“, to pierwiastek. to rdzeń tego później tak u nas ustalonego kierunku, identyfikującego Boga w ojczyźnie. Tą drogą postępować miało całe u nas pokolenie, tracąc z wolna świadomość, gdzie się kończą granice spraw boskich, a ludzkich zaczynają, obniżając tym sposobem polot prawdziwej religijności chrześcijańskiej. Od tej pory, patrząc na wizerunek ukrzyżowanego Jezusa, widziało się, nie Jego postać boską, ale ukrzyżowaną Polskę. Na widok ten, tworzyły się zastępy nowych męczenników, lecz nie czysto chrześcijańskich męczenników. stąd krew ich, jakkolwiek najczęściej niewinna, polskiej ziemi użyźnić nie miała. Miłością dla kraju, miłości dla Boga się nie zastąpi, ani się ich godzi na tej samej stawiać wysokości; wcielać ideę poświęcenia dla ojczyzny w dogmat religijny — jest rodzajem świętokradztwa. Był to wprawdzie sposób roznamietniający naród do wszelkiej ofiary, ale do ludzkich spraw boskiego Imienia używać się nie godzi, a namietność, choćby i najszlachetniejsza, zawsze namietnością pozostaje i jako taka, długo w korbach utrzymaną być nie może. Dowiodły tego mnogie u nas narodowe klęski; dowiodł i duchowy obłęd Mickiewicza, bo zasady na których budował „Księgi narodu polskiego“, były właściwie pierwszym krokiem ku towianizmowi. I jeszcze na tem skończyć się nie miało. Odtąd poezya nasza, czy w Jowiszowych błyskawicach Kraszińskiego, czy w rozpaczliwych skargach Słowackiego, albo tonie w mgłach mistycyzmu, albo pogańskiej nabiera goryczy. Trzeba polskiego naszego nieszczęścia, żeby ostatnie dźwięki tego czystego, jasnego, zdrowego, choć ogniem płonącego geniuszu wywołać musiały tak grozą przepelnione echa. I znów oczy łzami zachodzą, i znów powtórzyć trzeba, że ani do tego chorobliwego nie byłoby przyszło mistycyzmu, ani do tej rozpaczliwej, niemal pogańskiej skargi, ani do niejednego może w Polsce nie-

szczeńcia, gdyby taki duchowy i umysłowy olbrzym, był w kraju pozostał i polskimi zawładnął duszami. Chłubić się miała Mickiewiczem Szwajcarya; cześć mu oddali najznakomitsi we Francyi ludzie, jak: Wiktor Cousin, Ampère, Villemain, Montalembert; sam Goethe wieszował Polsce, że tak wielkiego posiada wieszcz, a nam, których on był własnością, ten brat i syn nasz z krwi i kości, nam z o b c z y z n y tylko swe genialne przesyłał dźwięki — z d a l e k a nad naszą płakał niedolą, zamiast ją z nami dzielić i nam ją ozłacać.

Uznanie jakie otrzymał Mickiewicz w Lozannie za tak krótki czas profesury na tamtejszym uniwersytecie, gorące zajęcie z jakim cisnęli się Francuzi na jego prelekye *au Collège de France* w pierwszych dwóch latach, dają miarę czem mogły być jego wykłady w Wilnie, Warszawie lub Krakowie. On by był przed narodem, całą polską przedstawiał tradycję; krzywdę nam zatem zrobił Mickiewicz, krzywdę srogą, nieodżałowaną, niezgłębioną, udając się na obczyznę.

Już się wracać nie będziemy do politycznych czynności Adama wśród emigracyi paryskiej. Zbliża się zresztą rozdzierająca chwila, w której umysł ten potężny, dusza gorąca, ten geniusz o orlim polocie, wszystkie boskie te dary na burzliwy ocean mistycyzmu rzucone być miały. Powtórzmy tu, ku pocieszeniu serc naszych, piękne wyrazy Lucyana Siemieńskiego, gdy pisze o duchowym obłędzie Mickiewicza: „Lecz i to pewna, że nawet w takim upadku, gdyby „się dotknął był jak Anteusz swej matki ziemi, byłby powstał silniejszy wiarą i prawdą. Kto pod nogami nie ma punktu oparcia, „zawsze zawisnie między niebem a ziemią“. Tego „punktu oparcia“ pozbawiony, burzami życia emigracyjnego skolatany, trawiony tym żarem, który każdą polską duszę pali, szukał Mickiewicz zaspokojenia dla siebie w czynnem życiu; szukał i dla ojczyzny iskierki nadziei. Lecz i to zawiodło; do legionów w wojnie krymskiej nie przyszło, ale dla wieszca przyszło „zaspokojenie wieczne“ — Miłosierdzie boskie zlitowało się nad nim.

Nic rzadszego jak dobrze zrobione streszczenie własnego dzieła; zwykle, albo się niechcący książce ujmę przynosi, albo streszczenie pozostaje w sprzeczności z dziełem. Uniknął tego szkopułu pan Chmielowski, nie wspominając w ostatnim rozdziale, ani o sobie,

ani o książce. Zamyka dzieło krótkim, zwiezłym, doskonałym, jakby w garść ujętym poglądem na wszystkie dodatnie i ujemne strony geniuszu Mickiewicza i jego charakteru. Oto ostatni ustęp biografii: „Jak w poezjach Mickiewicza odbiła się przeszłość i strona „uczuciowa narodu, tak w jego poglądach społecznych znajdują się „ziarna, które się rozwinąć mają w przyszłości. Jest to jedyny nasz „wieszcz-geniusz“ ...

Zacnie spełniony obowiązek biografą, jeśli czytelnikowi jaśniej i cieplej w duszy się robi, po przeczytaniu życiorysu. Ogólne wrażenie jakiego się doznaje skończywszy dzieło pana Chmielowskiego, jest, że książka ta, chlubną stanowi kartę w jego życiu, której mu każdy piszący pozazdrościć może.

Oddawszy autorowi sowitą miarę sprawiedliwości uznania, przychodzi nam zwrócić uwagę czytelnika na ujemną stronę książki, lecz w krótkich tylko słowach, bo i ta ujemna strona nie obszerna. Czy pisząc o Mickiewiczu, godzi się, błędy językowe popełniać, lub tworzyć wyrazy nie tylko w sprzeczności będące z duchem polskiej mowy, ale najnieprzyjemniejszym sposobem rażące ucho? Zdaje mi się, że nie. Otóż nie można się nie wzdrygnąć mimowolnie, czytając, że „dla uczuć nie potrzeba koniecznie najlepszości“ lub „że cały odczyt błyskawicował“. Niemniej przykro jest spotkać się z następującymi wyrazami: „s p r o c e n t o w u j ą c z a s o b y i t. d. „Odrzucenie (uczuc) dla wchłonięcia bólów narodu... odróżnić „dwa kręgi społeczeństwa“. Albo, czy pisząc o sporach literackich ówczesnych, stosownie było użyć wyrazu: s z n u r ó w k a k l a s y c y z m u ; w p r a w d z i e , s z n u r ó w k a j e s t p o l s k i e s ł o w o , w s z y s t k i e n a s z e p a n i e j e z n a j ą , a l e w i n n e m z u p e ł n i e z n a c z e n i u . K t o u m i e p o p o l s k u d o b r z e p i s a ć , t e m u b e z w a r u n k o w o ź l e p i s a ć n i e w o l n o .

Ważniejszym jest drugi zarzut. P. Chmielowski do zakonów w ogóle, a w szczególności do zakonu Jezuitów, nie ma sympatii. Darmo — *les amours ne se commandent pas*. Poczucie jednak dobrego tonu powinnyby nieco hamować tę subiektywną antypatyę. Jakżeż, proszę, wygląda w poważnej i naukowej książce powtarzanie starej piosnki, zużytej jak zwrotka francuskiej *Carmagnole*, do wtóru z pewnemi pismami polskimi i rosyjskimi, których Warszawiakom wymieniać nie potrzeba? Oto np. urywek: „W roku „właśnie 1818 (Jezuici) zaczęli ogłaszać swoje czasopismo p. t.:

„Miesięcznik Połocki. Usprawiedliwianie i uwielbianie tego, co „zakon Jezuicki robił i robi, walka zarówno z rzeczywistymi nieprzyjaciółmi Kościoła lub duchowieństwa, jak i z ich widmami „(np. farmazonerya); ściganie wszelkich myśli, a nawet wyrażań „nieprawowiernych (czytaj: heretyckich); dowodzenie możliwości cudów (o zgrozo!) i szerokie opisy tych, jakie naówczas pisma fanatyczne rozgłaszały; przedrwiwanie filozofii XVIII. wieku (alboż „ona czem innem jak drwinkami walczyła?), wykazywanie, że wrogowie ołtarza są zarazem wrogami tronu (co fakta świadczą); krytyka systemu wychowawczego w ówczesnych szkołach; osłabianie „doniosłości wywodów historycznych (które późniejsza krytyka całkiem obaliła); oto główne przedmioty, którym organ Jezuitów najwięcej miejsca udzielał“. Czy cały ten ustęp, nie wygląda jakby żywcem wzięty z jakiegoś anty-religijnego piśmidła z końca XVIII. wieku? — Bardzo też niedokładnie wyraża się pan Chmielowski, na wstępie swego dzieła, o znaczeniu „dwóch obrządków“ na Litwie i Rusi, gdzie mówi: „Istnienie dwu wyznań obok siebie, „różniących się nie tyle dogmatami, ile oznakami zewnętrzными“. O jakichże tu obrządkach mowa? jeśli o grekokatolickim, to różnicy w dogmatach żadnej być nie może, cała bowiem Unia na tej właśnie jedności dogmatów stoi; jeśli o grecko-prawosławnym, to natenczas i w dogmatach i w oznakach zewnętrznych znaczna zachodzi różnica.

Niech pan Chmielowski — tą radą kończymy — unika, we własnym interesie, tykania rzeczy religijnych — bo to nie jego grunt; ale niechże nam pisze dalej o rzeczach literackich, bo w tych jest prawdziwie niepospolitym pisarzem.

A. M. L.

R. 1791.

Leszaryński - pos. Inowrocław.

F'

23.743

CONF. 2

F
23.743